

Ewa Stawicka

Proces o zamek Horeszkowo

Palestra 42/3-4(483-484), 88-104

1998

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

WIELKIE PROCESY

Ewa Stawicka

Proces o zamek Horeszkowo

Na świetlnej tablicy ponad sceną przesuwają się angielski tekst śpiewanej właśnie arii. W mrocznych dekoracjach klucznik próbuje wystraszyć gości rzekomą niesamowitością zegara *starego niby świat*. Siedzący obok mnie wytworny pan uważnie odczytuje każdy wers. Ma, mimo swych osiemdziesięciu lat, niebywałą chłonność umysłu. Każdego roku przez dwa–trzy dni bawi w Warszawie. Wybornie zna historię Polski, z którą łączy go dalekie więzy krwi. Mimo to, a może właśnie dlatego, tak trudno przychodzi wyjaśnienie mu *Lithuanii* Grotgera czy *Rejtana* Matejki.

Reflektory dyskretną jasną plamą prowadzą postacie dwu stolnikowiczów, błąkających się po pokojach *Strasznego Dworu*. Jak to się dzieje, że atmosferę starych szlacheckich gniazd nosi się w sobie, nigdy jej nie zaznawszy?

„*Dlaczego została pani adwokatem?*” – padnie niespodziewane pytanie w czasie antraktu, gdy będę tłumaczyć wielorakość następstw unii polsko-litewskiej. Może dlatego, że rozmowa toczyć się będzie w obcym języku, odważę się w odpowiedzi przywołać imperatyw stawiania w obronie krzywdzonych sierot i ludzi niesłusznie oskarżonych, potrzebę wspierania spraw, o których słuszności jest się przekonany, wbrew wszystkiemu i wszystkim. W każdych innych okolicznościach zabrzmiałoby to nieznośnie naiwnie.

Język muzyki, plastyki, teatru operowego – to wszystko, co mam do dyspozycji, aby przybliżyć cudzoziemcowi rdzeń kultury mojego narodu. Nie powędrujemy razem, niestety, przez subtelności aluzji *Wesela*, przez bujne korowody trzynasto-zgłoskowca *Pana Tadeusza*; nie odda ich należycie nawet najdoskonalszy przekład. Ale przecież najbardziej kuszą zadania omal niewykonalne. Mój gość jest gruntownie wykształconym jurystą i wpada mi do głowy myśl opowiedzenia mu treści Mickiewiczowskiej epeji od strony prawnego położenia jednej z postaci. A chcąc doprowadzić do końca niejaka przewrotność tego pomysłu – decyduję się ustawić w centrum opowieści nie żaden z wyrazistych charakterów, których na kartach dwunastu Ksiąg bez liku, lecz – Zosię. Ośmielę się zresztą sądzić, że nie popadnę tym w konflikt z zamysłami poety. Wszak przyszła żona tytułowego Tadeusza to jedyna postać, która jest rówieśnicą autora poematu, a odmalowywani przezeń bohaterowie zgromadzili się w Soplicowie nie w innym celu, jak tylko dla rozstrzygnięcia sądowego sporu pomiędzy Sędzią z rodu Sopliców a Hrabią, reprezentującym rodzinę Horeszków. Proces ten ma za przedmiot zrujnowany

zamek Horeszkowo, oddalony od soplicowskiego dworu o najwyżej tysiąc pięćset metrów.

Za palestrą Mickiewicz najwyraźniej nie przepadał. Charakteryzując z przekąsem skłonność Rejenta Bolesty do przesadnych gestów i wielomówności, kilkakrotnie zaznaczał, że w przeszłości parał się on adwokaturą. Skądinąd przyzwoity to musiał być człowiek, skoro żył z nim przyjaźni słynący z bezkompromisowości Maciej Dobrzyński; ich stosunki ochłodziły dopiero wtedy, gdy Bolesta za namową swej narzeczonej porzucił strój narodowy dla francuskiej mody. Istnieją zresztą podstawy do przypuszczeń, że autorytet zaścianka Dobrzyń uczuł niejaką wzdętkę dla planów matrymonialnych właściciela charta imieniem Kusy. Wybranką Rejenta została bowiem Telimena, której polityczna postawa musiała budzić silne zastrzeżenia Macieja zwanego „Rózcęzką”.

Wyjaśnijmy przy tej okazji, że rejent był w czasach Mickiewicza urzędnikiem mianowanym przez pisarza sądowego. Rejenci aktowi zarządzali kancelarią, rejenci dekretowi spisywali wyroki czyli dekrety – i prawdopodobnie Bolesty należał do tej drugiej grupy.

Adwokatem był też za młodu stryj Tadeusza, brat Jacka Soplicy – Sędzia. Traktował tę profesję – jak się zdaje – jako sposób na otarcie się w szerszym świecie, okazję do wyrwania się z rodzinnych okolic: a to do Piotrkowa, który był przed utratą przez Rzeczpospolitą niepodległości jednym z miejsc zwoływania sesji Trybunału Koronnego, a to do Warszawy. Podobny stosunek do tego zawodu przejawiała też spora grupa drobnych szlachciców z Dobrzyńskiego zaścianka, który – mimo że niebogaty – obfitował w mieszkańców biegle władających łaciną i mających za sobą adwokacką przeszłość.

Określenie „palestra” pojawia się w „Panu Tadeuszu” w dwojakim znaczeniu; nie zawsze rozumie się pod nim stan adwokacki, czasami należy je identyfikować z pojęciem ogółu osób w jakikolwiek sposób związanych z sądownictwem. Tak właśnie trzeba je interpretować, gdy Telimena z irytacją tłumaczy Zosi, że dotychczas nie było warto przedstawiać jej nikomu ze stałych bywalców Soplicowa, jako że grono ich, lapidarnie nazwane przez ciotkę dziewczyny „plugastwem”, składało się w znacznej mierze z „palestrantów z fajkami”, po których nie można się było spodziewać nawet przyzwoitych manier, a cóż dopiero upatrywać pośród nich kandydata na męża. W takim też, szerszym, znaczeniu używa tego pojęcia Woźny Protazy, przekonując Sędziego, że jedynym miejscem zdolnym pomieścić wszystką palestrę oraz innych gości jest sień podupadłego zamczyska.

Dziwna rzecz: wśród mnóstwa postaci poematu nie znalazł się ani jeden praktykujący adwokat, choć raczej niewątpliwym jest, że we wcześniejszych stadiach sporu sądowego musieli takowi występować. Świadczy o tym i zawilość losów procesu, i narzekania Hrabiego na dotychczas poniesione wysokie koszty, i wreszcie entuzjazm tegoż dla Klucznikowego planu najechniania zbrojnie Soplicowa, który to plan wydaje im się obu o wiele lepszy niż „spór adwokacki”. Potwierdza się zatem niegasnąca antypatia Wieszcza do profesji jego ojca; utrwalone na wczesnomło-

dziennych obserwacjach obrzydzenie kazało Adamowi Mickiewiczowi jeszcze po wielu latach zamartwiać się, czy aby któreś z jego dzieci nie zechce pójść w ślady dziadka Mikołaja, zostając adwokatem.

Protazy Baltazar Brzechalski, mimo lat spędzonych w służbie Temidy, dość ostentacyjnie popierał interesy Sędziego w spornej sprawie. Protazy był „ostatnim Woźnym Trybunału”, na który to urząd mianowano go niegdyś, aby zgodnie z zakresem swych obowiązków roznosił pozwy, ogłaszał formalne wprowadzenie w posiadanie nieruchomości strony wygrywającej proces, dokonywał wizji lokalnych, a także wywoływał rozprawy wedle tak zwanych aktoratów, to jest według ustalonej kolejności; wreszcie – by pilnował porządku podczas sesji sądowych. Nie tylko zachowania tej postaci: jej zamiłowanie do solennych przemów, do popisywania się zdobytymi okruciami wiedzy prawniczej, do maskowania swej stronniczości uroczystymi zwrotami – ale i język, którym ona przemawia, czynią ją niezwykle prawdziwą. Oto na przykład odezwanie się do zebranych słowami: „cofnijcie się na ustęp!” jest powszechnie przez ówczesnych woźnych sądowych stosowaną formułą, wzywającą publiczność do wydalenia się z sali sądowej na korytarz i do zachowania spokoju.

To właśnie namiętność Woźnego do stosowania prawnych kruczków staje się bezpośrednią przyczyną zaostrzenia się sporu o zamek, a także planów pojedynku między Hrabią i Tadeuszem oraz Sędziowskiego pozwu o obrazę. To ona prowokuje wiernego sługę Horeszków, Klucznika Gerwazego Rębajłę, do podsunięcia „ostatniemu z rodu” zgubnej myśli o napaści na Soplicowo. „Kruczek” wykoncypowany przez Protazego był tyleż nieskomplikowany, co prawnie nieskuteczny. Polegał on na tym, że przewodniczący wyjazdowej sesji sądu granicznego, Podkomorzy, oraz pomagający mu w jego czynnościach urzędnicy tudzież inni goście – łącznie z przeciwnikiem procesowym – dzień w dzień zapraszani byli na wystawne wieczery do wielkiej sali zamkowej. Postępowanie takie – zwłaszcza gdy nie zostałyby przez nikogo zakwestionowane – stanowić miało niezbity dowód, iż Soplica jest samoistnym posiadaczem starego zamczyska, że zatem służą mu prawa właścicielskie do ruin i gruntu pod nimi. Ta naiwna próba stworzenia faktu dokonanego nie mogła się powieść z dwu powodów. Po pierwsze – Sędzia mógł objąć we faktyczne władanie nie więcej niżli sień i piwnice, jako że do reszty pomieszczeń nie dawał przystępu Klucznik. Po drugie – próba ta była co najmniej spóźniona. Być może przyniosłaby ona Soplicom pożądane owoce u początków procesu; podjęta teraz, po wielu instancjach i tuż przed końcowym orzeczeniem, na dodatek w obecności rozsądzającego spór Podkomorzego, zaogniła tylko sytuację.

Nic też dziwnego, że doświadczony jurysta Soplica, a i pomagający mu w podejmowaniu gości Wojski Hreczecha, byli niezadowoleni z uporczywego przeinaczania ich zarządzeń dotyczących miejsca, gdzie wydawano ucztę.

Gwoli ścisłości dodajmy w tym miejscu, że gospodarz Soplicowa był najprawdopodobniej członkiem sądu ziemskiego, mającego swą siedzibę w powiecie. Stosunkowo niewielkie obłożenie tych sądów obowiązkami pozwalało zasiadającym

w ich składach ziemianom zajmować się bieżąco prowadzeniem własnego gospodarstwa. Ze względu na rzeczowy podział kompetencji pomiędzy różnego typu organa wymiaru sprawiedliwości, Soplica w żadnym razie nie mógł mieć nic wspólnego z roztrząsaniem jego własnej sprawy.

Pierwsze dwie wieczery przeszły bez szczególnych wydarzeń. Dopiero podczas trzeciej Gerwazy zdecydował, że nie będzie dłużej biernie znosić panoszenia się wrażego rodu w murach, które ongiś należały do Stolnika Horeszki. W samym środku uczył wkroczył do sieni i jął hałaśliwie uruchamiać stojące w dwu jej kątach stare, popsute zegary. Czasomierze nie kurantową się odezwały muzyką, lecz przykrym zgrzytaniem. To był wet za wet, prowokacja za prowokacją. I Hrabiego zdołał Klucznik zagrać do słownego boju o prawo pierwszeństwa do zamku. Ironiczne wypowiedzi „ostatniego z Horeszków” ubodły zarówno Sędziego, jak i Podkomorzego. Zwłaszcza Podkomorzy miał prawo poczuć się dotknięty, ponieważ podczas tej właśnie biesiady próbował nakreślić zarys ugody, która zakończyłaby proces.

Awantura przerodziła się w rękoczyn; fruwały w powietrzu ciężkie przedmioty, przewracały się sprzęty, na posadzkę spadały talerze i półmiski. Tadeusz wyzwał Hrabiego na pojedynek, ten zaś – nie uchylając się od honorowej powinności (*nota bene*, pierwsze wydanie „Kodeksu honorowego” Władysława Boziewicza ukazało się dopiero z górą sto lat później), jednocześnie snuł wraz z wiernym Rębajłą plany najazdu. Jak z tego wynika, stosowana przez Woźnego metoda faktów dokonanych okazała się zaraźliwa. Protazemu Brzechalskiemu nie udało się wprawdzie podczas feralnej wieczery wieńczącej polowanie skutecznie ogłosić korzystnych dla Soplicy wyników samowolnej „wizji lokalnej” w zamku, lecz stojący we wrogim mu obozie Gerwazy przyjął za pewnik, że ten, kto uzyska posiadanie spornych murów, musi je mieć ostatecznie przysądzone.

Tak oto sprawdziło się jedno z życiowych prawideł: że ważne sprawy mogą skutecznie ruszyć z miejsca wcale nie drogą interwencji ważnych osobistości, lecz wskutek działań drobnych urzędników.

Zaludniło się nam soplicowskie proscenium. Mamy zatem dwie grupy aktorów: stronników Hrabiego, powoda w sądowym sporze, oraz krewnych i przyjaciół Sędziego. Jest nadto Podkomorzy, przybyły wraz z rodziną specjalnie po to, by na gruncie wytyczyć granicę. Całe zebrane towarzystwo – prócz Kluczniaka Gerwazego, który mieszka w zrujnowanym zamku, oraz Hrabiego, mającego niedaleko swój pałac i ziemie – nocuje w zabudowaniach należących do Sędziego, wspólnie odbywa przechadzki, grzybobrania, polowania i biesiady. Niechże nie wychodzą jeszcze przed kurtynę statyści: drobna zaściankowa szlachta, oficerowie w moskiewskiej służbie. Zanim na nowo uporządkujemy główny tok wydarzeń, przedstawmy Zosię.

Kiedy ją poznajemy latem 1811 roku, rozpoczyna właśnie czternasty rok życia. Dopiero od dwóch lat mieszka na wsi, w Soplicowie. Wcześniej wraz z ciotką Telimeną na stałe przebywała w Petersburgu. Jak się wydaje, nie za wiele pamięta z tamtego okresu. Wychowująca ją daleka krewna pędziła w rosyjskim mieście dość

wesoły żywot. Miała dzięki temu rozległe i użyteczne kontakty wśród wysokiej rangi urzędników. Można przypuszczać, że „niezmierne usługi”, jakie niegdyś oddała Sędziemu, polegały na pilotowaniu jego sprawy w najwyższej instancji sądowej – Senacie. Telimena chętnie zresztą popisuje się niegdysiejszymi swymi znajomościami. Uwielbia zwłaszcza opowiadać, jak to pewnego razu w letniej posiadłości na przedmieściu Petersburga, psy myśliwskie należące do drobnego czynownika zagryzły jej ulubionego pokojowczyka. Dowiedziawszy się o tym, zaprzyjaźniony z nią Wielki Łowczy carskiego dworu oskarżył owego czynownika, że jego charty nie małego pieska, lecz kotną łanię w okresie ochronnym zaszczyły. W dowód zaś „łaskawości” wstawił się za nieszczęśliwym i wyjednał mu złagodzenie kary do czterech tygodni aresztu. Rzecz jasna, owo fałszywe oskarżenie nie byłoby możliwe bez współdziałania przywołanego dla spisania protokołu policmajstra, który w lot pojął, jak ma się zachować. Opowieść Telimeny, która wielce zresztą zaimponowała Tadeuszowi, kończy się zapewnieniem, że „sam cesarz” śmiał się z owej historii. Zastanawiające: Sędzia darzy ogromną estymą ową kobietę, bez zająknięcia nazywającą Petersburg „stolicą” w kilkanaście ledwie lat po utracie przez Polskę niepodległości.

Tej oto osobie oddano niegdyś na wychowanie osieroconą dziewczynkę. Nie jest nawet jasne, czy jest ona z Zosią w jakikolwiek sposób spokrewniona, ponieważ pani Telimena przyznaje się do koligacji to z jedną, to z drugą rodziną. Nie sposób także dociec, z czego utrzymywała się ona kiedyś – bo że obecnie żyje na koszt Sędziego, to raczej pewne. Mając w zwyczaju oświadczać się mężczyznom, Telimena wspomina wprawdzie czasem w miłosnym zapale o swym „majątku” lecz to określenie wydaje się mocno przesadzone. Kalkulacje „cioci” – jeszcze przed szczęśliwymi jej zrękowinami z Rejentem Bolestą – obejmowały między innymi i taki wariant, by bogato wydać za mąż wychowanicę i w jej nowym gniazdku wymościć sobie bezpieczną jesień życia. W tych warunkach nie pozbawione podstaw będzie przypuszczenie, że Telimena utrzymywała się do pewnego stopnia z renty, wypłacanej na rzecz Zosi na polecenie przebywającego na emigracji Jacka Soplicy. Fundator zobowiązał także swego brata, Sędziego, do troszczenia się o dziewczynkę. Jest jednak mało prawdopodobne, by piecza sprawowana przez kogokolwiek nosiła prawne cechy opieki. Zosia nie posiadała wszak dóbr, którymi należałoby w jej imieniu zarządzać, nie istniała zatem w tamtych czasach potrzeba formalizowania jej prawnego położenia do momentu uzyskania pełnoletności.

Kim zatem jest ta ubożuchna szlachcianeczka? To wnuczka Stolnika Horeszki, niegdyś jednego z potężnych dygnitarzy, pana na zamku, bogacza, który jednak – inaczej niż większość litewskiej magnaterii – w 1792 roku przeciwstawił się targowiczanom. Matką Zosi była wypieszczona jedynaczka, Ewa Horeszkówna, ojcem – Wojewoda, syn kasztelana witebskiego, którego Stolnik wyswatał córce jako odpowiednią dla niej partię. Zrobił to zresztą i po to, by ostatecznie położyć kres zalotom Jacka Soplicy. Ów szlachcic, syn Podczaszego, formalnie był wprawdzie równy Horeszkom urodzeniem, lecz – jak mówiono – nie posiadał nic „prócz

kawałka roli, szabli i wielkich wąsów”. Jako doskonały kompan „do wypitki i do wybitki”, był jednak cennym partnerem w momentach, gdy trzeba było starać się o głosy wyborców: popularny wśród zaściankowej szlachty, mógł zyskać Stolnikowi ogromną liczbę stronników. Traktowano go zatem na zamku z rewerencją stosowną do jego użyteczności, do oświadczyn jednak nie dopuszczono. Działo się to wszystko jeszcze przed wojną o Konstytucję 3 Maja. Odrzucony konkurent z przekory ożenił się z pierwszą napotkaną dziewczyną, która w 1792 roku urodziła mu syna, Tadeusza. Wkrótce potem umarła ze zgrzyoty nie mogąc znieść, jak jej mąż stacza się w pijaństwo i rozpaczliwe warcholstwo. Kiedy wojska moskiewskie wspierające targowicką konfederację obległy Horeszkowo – w obronie zamku walczyli wszyscy jego mieszkańcy; Ewa nabijała strzelby i podawała je ojcu. A gdy najeźdźcy byli już prawie odparci – Jacek Soplica (choć nie był z Moskalami w zмовie) wymierzył swą prywatną zemstę, podstępny strzałem zabijając Stolnika, czego naocznym świadkiem był Klucznik Gerwazy.

Śmierć głowy rodu była dopiero początkiem nieszczęść. Mąż Ewy reprezentował prawdopodobnie tę samą opcję polityczną, co jego teść; jak można się domyślać, wziął czynny udział w Insurekcji 1794 roku. W pewien czas po trzecim rozbiore Polski został wraz z żoną zesłany na Syberię. Trudno określić, w którym to dokładnie było roku. Wiadomo jednak, że urodzoną w 1798 roku małą Zosię rodzice pozostawili w kraju, nikomu jej przy tym w szczególny sposób nie powierzając. Wiadomym jest i to, że Ewa wkrótce po wywóźce umarła gdzieś w dalekiej Rosji. Jedynym, który zainteresował się losem jej dziecka, był Jacek Soplica. To on, przebywający po Powstaniu Kościuszkowskim na stałe za granicą, zabezpieczył los dziewczynki, dając jej regularne finansowe zaopatrzenie i zobowiązując młodszego brata oraz panią Telimenę do sprawowania nad nią osobistej pieczy.

Nie sposób dociec, skąd wziął się u Soplicy pieniężny kapitał na wypłacanie sieroczej renty. Ważniejsze jest jednak, co stało się z ogromnym majątkiem Stolnika. Otóż poważną część gruntów skonfiskowały tuż po jego śmierci władze konfederackie; nie był to bowiem jeszcze czas, gdy Rosjanie masowo zabierali majątki nieposłusznej szlachcie. Przeciwnie – Moskale potrafili grać wówczas rolę bezstronnych rozjemców. Oderwane z horeszkowskiego klucza dobra nadano na własność Soplicy. Nie jest jasne, czy w formalnym akcie figurował Jacek, czy też młodszy jego brat, którego na kartach dwunastu Ksiąg poznajemy już jako statecznego Sędziego. Jeśli było tak, że właścicielem znacznej części sąsiedzkich dóbr został zabójca Stolnika, to przypuszczalnie przed ucieczką z Litwy uczynił z nich bratu darowiznę; świadczyłoby to o tym, że pragnął on i siebie, i syna odciąć od krzywdy Horeszków. W momencie rozgrywania się akcji „Pana Tadeusza” Sędzia wypowiada się konsekwentnie w taki sposób, że nie powinno budzić niczyjej wątpliwości, iż prawowicie włada on dawnymi ziemiami Stolnika. Ba! Jest on gotów zawsze i każdemu przedstawić bez żenady tytuł swego posiadania; przyznaje zresztą wprost: „dano mi dobra – wziąłem”. Zaznacza przy tym, że ucząc się w szkole jezuickiej, a potem przebywając lata całe na dworze Wojewody (ojca Podkomorzego, który dziś ma rozsądzić jego spór), nie miał nawet możliwości znać swego brata. Taką postawę

można wyjaśnić jedynie tym, że – nastawiony w 1811 roku niewątpliwie patriotycznie – Sędzia nie widział niczego zdrożnego w przejęciu cudzego majątku, skoro dokonało się ono mocą czynności urzędowych polskiej władzy. Że władza ta była w istocie marionetkowym przedłużeniem carskiego imperium – to już młodszemu z braci Sopliców niestety nie przeszkadzało. Rozchwianie systemu wartości wyznawanego przez Sędziego daje się poznać również w innych sytuacjach. W dyskusji z Telimeną nie podziela on wprawdzie zachwyty rozmówczyni dla jej planu wyprawienia Tadeusza do Petersburga, aby – nim zostanie hreczkosiejem – nabył ogłady, zdobył jakąś rangę i order – ale też nie znać po nim oburzenia dla takich propozycji, podkreśla raczej ich nieużyteczność. Podobnie – Sędzia wyrzeka publicznie na rozluźnienie dawnych obyczajów, zatrąę szacunku dla dobrego urodzenia i wieńczy swe rozważania stwierdzeniem, że oto teraz każdy może osiągnąć nienależną mu pozycję – jeśli tylko nie jest rządowym szpiegiem bądź nędzarzem. Czy zatem czyni wszystko, by zamieszkująca pod jego dachem wnuczka Stolnika cieszyła się należnymi dla jej pochodzenia względami? Jednoznacznie odciął się wszak od zbrodni Jacka, a zatem otoczenie powinno by z aprobatą przyjąć próby naprawienia wyrządzonej pośrednio temu dziecku krzywdy. Można jednakże mniemać, że prawie nikt nie wie, kim naprawdę jest Zosia. Przybyłemu po latach nieobecności z powrotem do Soplicowa Tadeuszowi dziewczyna przedstawiona zostaje jako bliska krewna. Telimena, która tej prezentacji dokonuje, innym gościom podaje do wierzenia, iż Zosia jest jej siostrzenicą (a wiemy przecież, że Ewa z pewnością nie miała siostry). W Dobrzyńskim zaścianku jeden ze szlacheiców przezwiskiem Chrzyciel, chętnie widziałby wychowanicę Sędziego jako swoją przyszlą synową. Uboga szlachta uważała zatem dziewczynę za równą sobie i majątkiem, i stanem. Co więcej – z istnienia wnuczki Stolnika nie zdaje sobie najwyraźniej sprawy nawet najwierniejszy, stary sługa jej dziadka – skoro wszystkie nadzieje na podtrzymanie ciągłości rodu ulokował w osobie Hrabiego.

Wróćmy jeszcze do przyczyn tak głębokiego ubóstwa Zosi. Ruina dóbr horeszkowskich dopełniła się najprawdopodobniej po upadku powstania 1794 roku. Dotknęły je sekwestry nakładane przez carski rząd, wyroki sądowe, na mocy których część ziem przejęli wierzyciele, wreszcie – niestaranność przypadkowych zapewne gospodarzy ocalałych resztek. Resztki owe dostały się ostatecznie dalekim krewnym Horeszków. Najprawdopodobniej Hrabia był owych krewnych sukcesorem; od Stolnika dzieliło go przynajmniej sześć kanonicznych stopni. Że zaś była to parantela po kądzieli – nie znamy nawet jego rodowego nazwiska. Wiemy w każdym razie tyle, że przyszedłszy do pełnoletności, panicz ów zainteresował się podniszczałym zamczyskiem, którego dotąd nikt (należy chyba rozumieć: nikt z dalekich krewnych Horeszków ani też nikt z wierzycieli) nie chciał przejąć ze względu na wysokie koszty utrzymania budowli.

Pozostaje zagadką, dlaczego Zosia nie odziedziczyła nawet części majątku. Czyżby nic nie dostało się w spadku także i jej matce, Ewie? Przypuszczenia na ten temat mogą być rozbieżne: albo, że Stolnikówna, jako żona sybiraka nie mogła

niczego odziedziczyć, nawet po swoim ojcu; albo też – że sprawy spadkowe zostały nigdy nieprawnie przeprowadzone, a zatem Hrabia nie był w ogóle uprawniony do przejęcia resztek Horeszkowa. Przeciwno tej drugiej wersji przemawia fakt, że musiał on przecież mieć jakąkolwiek legitymację do ubiegania się o zamek, skoro wszczął proces i prowadził go latami w różnych instancjach. Jedno wydaje się pewne: spadkobranie przez córkę i wnuczkę nie stałyby na zawadzie materialnoprawne przepisy Statutu Litewskiego, który w braku męskich potomków zezwalał na przejęcie spuścizny przez córki. Można zatem snuć dalsze przypuszczenia, że dobra Horeszków były tak zwaną ordynacją, której sposób spadkobrania określony był w liście fundacyjnym; najczęściej w takich wypadkach spotykało się zasadę dziedziczenia ordynacji przez najstarszego żyjącego krewnego płci męskiej.

Ojca Zosi – też przecież magnata – wyzuto zapewne z majątku, zsyłając na Sybir.

Czy spór o zamek może zakończyć się w taki sposób, by dziewczynie tej stworzono szanse zyskania należnego jej prestiżu i majątku? O tym przekonamy się, prześledziliśmy dokładniej wpieryw dzieje procesu, a potem inne zdarzenia w soplicowskim dworze.

Sąd podkomorski już trzeci raz miał rozpatrywać sprawę pomiędzy Hrabią a Soplicą. Podkreślimy ponownie, że w I Rzeczypospolitej ten rodzaj sądów powołany był do rozstrzygnięcia sporów o przebieg granicy. Pozwy wnosilo się do sądu ziemskiego, który prowadził także kancelarię sądu granicznego. Reforma prawnego systemu rozgraniczania nieruchomości miała się dokonać mocą „konstytucji” (ustaw w dzisiejszym rozumieniu) Sejmu Czteroletniego; na Litwie nie została jednak dokończona.

W sprawie opisywanej w „Panu Tadeuszu” nie szło zatem o prawo własności resztek pohoreszkowskich dóbr, lecz o to, gdzie kończyły się grunta Sędziego. Innymi słowy – o to, czy zamek objęty był nigdyś konfiskatą i z mocy targowickich nadań przypadł Soplicom. Podstaw materialnoprawnych oraz procesowych rozwiązania tej sprawy należało szukać w Statucie Litewskim.

Przeciwnik procesowy Hrabiego, choć sam praktykujący prawnik, popełnił chyba w przeszłości (zapewne przed tym, zanim potomkowi Horeszków przyszła chętka na objęcie w posiadanie starych murów) taktyczny błąd, usypując kopce graniczne pomiędzy gruntami zamkowymi a Soplicowem. Tym samym wytrącił sobie z ręki ewentualność zonglowania zeznaniami świadków na dowód innego przebiegu granicy. Sędzia był zatem teraz zmuszony dowodzić, że istniejąca granica jest niezgodna z rzeczywistym stanem prawnym. Nie wiemy, jakimi argumentami i jakimi środkami dowodowymi posługiwał się Hrabia. Jest zastanawiające, że w ogóle uznał on za konieczne wszczęcie sądowego sporu; możliwe wszak, że gdyby mu doradzono, aby miał wszczynać proces zajął po prostu zamek i w razie protestów ze strony sąsiada wskazywał na jego własne znaki graniczne – całej sprawy by nie było. Skoro jednak machina sądowa raz poszła w ruch, kołysała dalej stronami niczym wahadło. Przeszła zatem przez sąd podkomorski, potem znalazła się w apelacji – w tak zwanym sądzie głównym (dawnym Trybunale Litewskim),

a następnie w petersburskim Senacie, któremu służyły kompetencje trzecioinstancyjne. Widać poprzednie rozstrzygnięcia uchylono, skoro sprawa od początku zawisała w sądzie granicznym, a później znów w „guberskim”, to jest głównym. Ten ostatni ponownie dopatrywał się jakichś formalnych uchybień i odesłał strony do rozstrzygnięcia sporu na samym gruncie. Wydaje się, że przynajmniej tym ostatnim razem Sędzia miał poważne szanse na wygraną. Tym bardziej, że – jak wiadomo – łączyła go z Podkomorzym zażyłość z lat spędzonych u boku jego ojca. Możliwe też, że najnowsze wytyczne sądu drugoinstancyjnego były tego rodzaju, iż działanie sądu podkomorskiego sprowadzić się miało nieomal do formalności. Być może dlatego w pewnym momencie Sędzia wybucha pretensją do księdza Robaka, iż ten niepotrzebnie doradził mu zwołanie po raz kolejny sądów podkomorskich. Tak czy owak, Podkomorzy miał już porządnie przemyślany plan końcowej ugody; jeśliby zamek przypadł Soplicy, należało koniecznie rozstrzygnąć również kwestię przynależności tak zwanego *fundum*, to jest przyległego doń gruntu. Ugoda wykraczałaby w tym punkcie poza czysto rozumiane rozgraniczenie, ponieważ zamiarem rozjemcy było jednoczesne przeprowadzenie zamiany – tak, aby Hrabia otrzymał w naturze rekompensatę areалу, jaki obejmowało owo tracone przezeń *fundum*.

Bezpośrednio na przeszkodzie urzeczywistnieniu tych zamierzeń stanęła awantura w trakcie wieczerzy, której przebieg już znamy. Wprawdzie Sędzia ochłonął wkrótce po tym z pierwotnego zacierzwienia, a i Tadeusza udało się namówić, by wstrzymał się z wyjazdem poza granicę Litwy, w której pojedynki były zabronione, dla załatwienia z Hrabią sprawy honorowej. Jednak Podkomorzy najwyraźniej stracił ochotę do dalszego udziału w sprawie, a ponieważ sąd, któremu przewodniczył, ulegał akurat likwidacji – zapowiedział Soplicy, że procesem będzie się teraz zajmować „sąd arbitrow”, przez który należy rozumieć raczej nie sąd polubowny, lecz nowy typ organów wymiaru sprawiedliwości, powołany do życia przez władze carskie w 1810 roku; reforma ta była zresztą w znacznym stopniu wzorowana na ustawodawstwie Sejmu Wielkiego.

Pokłósiem kłótni w zamkowej sieni, do której powracamy, stała się próba wszczęcia przez Soplicę osobnej sprawy o ochronę czci. Rzecz zahaczała o materię prawa karnego, i tu Sędzia miał wreszcie swobodne pole do popisu jako jurysta. Protazy nie posiadał się z radości, że znów – mimo podeszłego wieku – przyjdzie mu spełniać ważne urzędowe czynności. Wzmianka, że sprawa miała trafić do „rejstru taktowego” w sądzie grodzkim świadczyć może o tym, że Soplica wytoczył proces karny nie tylko o zniewagę ze strony Hrabiego i Klucznika, ale także o „przechwałki”, rozumiane w ówczesnym języku prawniczym jako obraźliwe zachowanie się wobec przeciwnika procesowego, a nade wszystko jako naruszenie powagi sądu. Dołączenie zarzutu znieważenia osoby Podkomorzego zaostrzało prawną kwalifikację czynu, przydając jej elementów publicznoskargowych. Zadaniem Woźnego (zwyczajowo zwanego także „Jenerałem Trybunalskim”) było teraz powiadomienie Hrabiego o treści zarzutów; przyjętym na to trybem było przekazanie ich ustnie i „oczywisto”, to znaczy przeciwnikowi prosto w oczy. Tego drugiego

wymogu Protazy nie dopełnił, bo nie mógł: potomka Horeszków ani nikogo z domowników nie było w pałacu, gdyż wszyscy zdążyli już wyruszyć na wojenną wyprawę. Ścisłej mówiąc – rozpoczęli właśnie samowolną zbrojną ekspedycję na Sopicowo. Za chwilę uściślimy, jak do tego doszło.

Jak wiemy, poprzedniego wieczora Protazemu nie udało się – wskutek krewkiego zachowania skłóconych biesiadników – ogłosić „oficjalnie”, jakoby Hrabia dopuścił się naruszenia posiadania zamku, którym władał Soplica. Co prawda zdołał on dokończyć swoją uroczystą wypowiedź „woźnieńskim głosem” w opustoszałej po bijatyce sieni, lecz nie sposób było przypisać temu jakiegokolwiek prawne znaczenie.

Sędzia – jako się rzekło – dość skutecznie wyładował swoją złość, przygotowując pozew o obrazę, któremu nie nadano zresztą później dalszego biegu. Mitygujący nań wpływ wywarł ksiądz Robak, który już wkrótce miał przecież wyjawić, że jest odmienionym całkowicie Jackiem Sopicą, co to nie tylko rycerską odwagą, ale i mniśią pokorą pokutował za dawną swą zbrodnię. Przybył on jako kwestarz w progi braterskiego dworu, aby stąd rozpocząć przygotowania wspierające przybliżającą się kampanię napoleońską. Dla historycznej ścisłości dodajmy, że wydarzenia polityczne z tym związane, to znaczy zwołanie w Warszawie sejmu oraz uchwalenie przez skonfederowane stany przyłączenia Litwy, miały w rzeczywistości miejsce dopiero w roku następnym, 1812. Autor przesunął je jednak świadomie w czasie, najwyraźniej dla podkreślenia, że emisariuszowskie wysiłki Robaka nie poszły na marne – i żeby nawrócony na drogę cnoty, pojednany ze światem bohater miał szansę oglądać pierwsze ich owoce, zanim umrze w końcu lata 1811 roku.

Bracia wspólnie uradzili, że dla dobra narodowej sprawy zarzucić trzeba sąsiedzkie waśnie i włączyć Hrabiego, cieszącego się poważaniem u okolicznej gołoty, do powstańczych przygotowań. W tym celu ksiądz Robak wyprawił się natychmiast do pałacu „ostatniego z Horeszków”, ale zderzył się tam jedynie z usiłującym dopełnić powierzonego mu woźnieńskiego poselstwa Protazym. Pustkę w siedzibie sąsiada spowodował Gerwazy. Klucznik tak długo bowiem przekonywał sukcesora swych panów o konieczności samodzielnego wyegzekwowania swoich pretensji, aż ten uległ namowom i postanowił zbrojnie najechać ziemie przeciwnika procesowego. Rębajło miał, rzecz jasna, jeszcze bledsze pojęcie o prawie niż jego antagonistą Brzechalski. Hrabia posłuchał jednak zgubnej rady z kilku przyczyn. Raz – był już zniecierpliwiony długotrwałym procesem; po wtóre – działał pod wpływem zazdrości o Telimenę, której amory okazywane na przemian to jemu, to znów Tadeuszowi stanowiły również głębsze tło awantury poprzedniego wieczora. Po trzecie – była to natura, jak wtedy mawiano, „romansowa”, której wielce odpowiadała perspektywa włączenia się w nurt walecznych czynów przodków, o których z takim zapałem opowiadał stary sługa, właściciel słynnego rapiera zwanego „Scyzorykiem”. Gerwazy od lat nie mógł przeboleć tego, że Soplica, wzbogacony pośrednio na nieszczęściu Stolnika, nie tylko żyje

w dostatku, ale i cieszy się poważaniem choćby z racji sprawowanego urzędu. Koszta procesu, kłopoty z nim związane, a wreszcie potrzeba wymierzenia sprawiedliwości za „grabież” zamku, który przedtem należał przez lat czterysta do rodziny Horeszków – wszystko to, zdaniem Klucznika, upoważniało Hrabiego do zabrania przemocą nie tylko samego zamczyska, ale także gruntów soplicowskich. Gerwazy czuł się nadto w obowiązku pouczyć „ostatniego z Horeszków”, jak ma wyglądać taki najazd: do udziału w nim koniecznie należy zaprosić okoliczną szlachtę. Co najmniej trzystu jej przedstawicieli zobowiązał się stary wojak dla tej sprawy skaptować.

Jeśli by operować stosowną do okresu historycznego prawniczą terminologią, J podtytuł poematu powinien zwiierać w sobie nie słowo „zajazd” (*ostatni na Litwie*), lecz właśnie „najazd”. Zajazd był bowiem sformalizowanym – co najmniej od czasu wprowadzenia na ziemiach Rzeczypospolitej kodyfikacji zwanej *Formula processus* (1523) – stadium postępowania egzekucyjnego. Do jego legalności potrzebny był zatem prawomocny wyrok sądowy, zwany w Polsce szlacheckiej „dekretem”. Przybyły do zaścianka Dobrzyń Gerwazy uprawiał zatem czystą demagogię rozgłaszając na zwołanym *ad hoc* wiecu, jakoby Hrabia „wygrał i zyskał dekretów niemało”. Wiemy przecież, że żadne z dotychczasowych orzeczeń nie było ostateczne. Przede wszystkim zaś – postępowanie sądowe dotyczyło wyłącznie zamku, już nawet nie przyległego doń *fundum*, a cóż dopiero – ziem z klucza soplicowskiego, które – o ile nam wiadomo – nigdy przedmiotem procesu nie były.

Zgodnie z prawną tradycją, egzekucja prawomocnego wyroku powinna rozpoczynać się wysłaniem na nieruchomości woźnego, który w towarzystwie dwóch świadków próbował dokonać tak zwanego wwiązania, zwanego z łacińska *intromisją*. Jeśli posiadacz dóbr do niej nie dopuścił, to znaczy „odbił wwiązanie”, czyniono o tym wzmiankę w aktach. Właściwy sąd, pod groźbą nałożenia na dłużnika poważnych restrykcji finansowych, zarządzał ponowną intromisję. Jeśli i ta okazywała się bezskuteczna – władze miejscowe zarządzały rumację, to znaczy usunięcie dłużnika siłą z zajmowanego przezeń gruntu; tym razem groziło mu w przypadku stawiania oporu skazanie na banicję. Jeśli żądanie opuszczenia nieruchomości nie zostało i tym razem dobrowolnie spełnione – ogłaszano dotychczasowego posiadacza dóbr banitą, to znaczy wyjętym spod ochrony prawa. W tym momencie dopiero otwierała się droga do właściwej rumacji. Jeśli było to konieczne, włączano do udziału w niej szlachtę danego powiatu, zwołując coś w rodzaju pospolitego ruszenia. Podobnie jak wojenne wyprawy, zajazdy okazywały się z reguły dość opłacalne dla ich uczestników, dlatego też gołota chętnie brała w nich czynny udział. W wieku XVII i XVIII coraz częściej zdarzały się samowolne ekspedycje na sąsiedzkie dobra. Choć – z drugiej strony – bywało i tak, że ogłoszony banitą magnat kpił sobie i z „dekretów”, i z uświęconych prawem prób wyrzucia go z posiadania. Dlatego w tychże stuleciach rozpoczął się odwrót od udzielania zajazdom urzędowej akceptacji.

Jako się rzekło, zbrojne najechnanie Soplicowa przez Hrabiego i jego stronników z Dobrzyna nosiło wyłącznie cechy samowolnej napaści, zagrożonej zresztą, jako przestępstwo przeciwko mirowi domowemu, surowymi karami. Nie dziw zatem, że oratorskie popisy Klucznika, jak i nastąpiły po nich ruch w zaścianku, wzbudziły niesmak u Maćka Dobrzyńskiego. Gospodarz był z niego – sądząc po stanie obejścia – nienadzwyczajny. Cieszył się za to u krajanów zasłużonym szacunkiem z racji bystrości umysłu, niezachwianego poczucia sprawiedliwości oraz specyficznego daru, który można by określić patriotycznym instynktem. To on – jako jedyny – rozpoznał Jacka Soplicę w bezwąsym, steranym tułaczka i wiekiem kapucynie. Tylko on w rok później, kiedy entuzjazm towarzyszący przemarszowi wojsk Napoleona udzielił się wszystkim stanom, głośno wyrażał sceptycyzm, czy aby ma szansę powodzenia ta wyprawa, współpodjęta przez Polaków pod obcymi sztandarami i pod bezbożnym wodzem. Porywczy z natury Maciej „Rózczecka”, chyba tylko w zupełnie błahych rzeczach dopuszczał się niekonsekwencji – żeby wspomnieć tę, kiedy chmurny przybył na obiad wydany w Soplicowie na cześć generalicji, zarzekając się, że nie będzie niczego jadł – później zabrał się jednak do talerza zupy z pajdą chleba. W sprawach zasadniczych dokonywał, to prawda, częstych i radykalnych zwrotów, z której to przyczyny nazywano go w sąsiedztwie „Kurkiem na kościele”, że niby jak blaszany ptak na szczycie wieży obraca się za każdą zmianą wiatru. Zwroty te były jednak zawsze dyktowane względem na dobro ojczyzny. W roku 1768 przystał zatem Maciej do konfederatów barskich. Niewątpliwie znał się dobrze i z właścicielem „Szczyryka”, który do starości cenił sobie wspomnienia z tamtych czasów. Ponieważ walka o ochronę tradycji ustrojowych, a zarazem suwerenności Rzeczypospolitej nie przyniosła spodziewanych efektów, „Kurek na kościele” obrócił się w stronę króla Stanisława Augusta, którego detronizacji – jako konfederat – dopiero co się domagał. Aprobował monarsze próby naprawy państwa i Konstytucję 3 Maja, lecz gdy zawiązała się Targowica – natychmiast odstąpił biorącego w niej udział Poniatowskiego. Jak się wydaje, jedna przyświecała mu nieodmienna zasada: nigdy nie wchodzić w jakikolwiek układ z Moskałem.

„Maciek nad Maćkami” wolny był jednakże od chęci zemsty na Soplicach, rodznie splamionym targowicką hańbą. W milczeniu słuchał sejmikowania panów braci, którzy – biorąc po początkowych słowach Klucznika zwołane przezeń zgromadzenie za wstęp do pospolitego ruszenia dla wsparcia wojsk Bonaparte’go – jeli się wkrótce kłócić o to, który z nich ma objąć przywództwo. Zamieszanie wzmogło się jeszcze bardziej, kiedy nadjechała szlachta z innych zaścianków, ściągnięta do Dobrzyna przez Rębajłę. Dopiero kiedy Gerwazy wyłuszczył swoją myśl, że przed przybyciem wyzwolicieli należy „posprzątać” własną okolicę, usuwając z niej tych, których fortuna wyrosła na targowickiej zdradzie – zapanowała niemalże jednomyślność. Obiekcję wyrażało co prawda między innymi trzech Mickiewiczów z sąsiedniego zaścianka – lecz nie ich usłuchano. Tego już Maciek nie ścierpiał i odciął się od dalszych działań szlacheckiej kupy, która – wiwatując na cześć przybyłego na sam koniec obrad Hrabiego – z zapalem wyruszyła „na Soplice”.

Hrabia opamiętał się do jakiegoś stopnia już w drodze do dworu. Chęć stosowania przemocy na sąsiadach zupełnie mu przeszła po melodramatycznej interwencji Telimeny. Nie sposób było jednakże wstrzymać rozhukaną brać zaściankową. W trosce o bezpieczeństwo rodziny Sopliców, zamknął ją zatem „ostatni z Horeszków” pod strażą we dworze, cały zaś impet najeźdźców skierowany został na folwark. Szlachta z Dobrzyna wkrótce zajęła się tam ubojem zwierząt, pieczeniem ich oraz ucztowaniem. Tylko Gerwazy nie pozwolił skierować swojej uwagi na boczny tor. Spróbował zatem wyciągnąć prawną korzyść z całego tego przedsięwzięcia. W tym celu odszukał Woźnego i, wywlekłszy go przemocą na dziedziniec, usiłował skłonić do ogłoszenia „intrumisji” Hrabiego do: zamku, dworu soplicowskiego, wsi, gruntów obsianych i ziemi ugorowanej, „*słowem: cum gais, boris et granicijebus, kmetonibus, scultatis et omnibus rebus et quibusdam alijs*”*. „*Jak tam wiesz, tak szczekaj, nic nie opuszczaj!*” – dodał groźnie Rębajło. Protazy, zebrawszy się na cały swój spryt, jął wpierw przekonywać „Szczyryka”, że oświadczenie takie, jako złożone pod przymusem, nie będzie miało urzędowej mocy, a widząc, że ten argument nie skutkuje i że to raczej nie przelewki – udał, że ulega perswazji. Wdrapał się zatem na stos drewnianych belek suszących się pod płótem, zakrzyknął donośnym głosem: „*Bracia, uczyszcie się!*” – po czym „buchnął w kapustę”, stamtąd zaś pędem, przez łozy i bagnistą rzeczkę dopadł chmielowego pola. Z bezpiecznej odległości zakrzyknął jeszcze na wszelki wypadek: „*Protestuję!*” – i tyle go widziano.

Opita soplicowskimi trunkami i utrudzona biesiadowaniem szlachta wkrótce posnęła pokotem; zajazd odbył się wszak ciemną nocą. Przebudzenie było nader nieprzyjemne. Nie wiadomo jakim sposobem, o awanturze dowiedzieli się siedzący na kwaterach po okolicznych wioskach Moskale. Cały ich batalion przybył do Soplicowa i pokrępował śpiących zajeźdźców, gospodarze zaś i przybyli im na odsiecz drobni szlachcice ze skłóconych z Dobrzynem zaścianków głowili się, jak wybawić niedawnych swych wrogów z opresji. Nielegalny zajazd był bowiem przestępstwem z punktu widzenia zaborczej władzy. Tak zwana Żółta Księga, którą ochrzczono tak dla koloru okładek, zawierała szczególne regulacje przewidziane na czas działań wojennych. Zgodnie z nimi, zajazdy i najazdy miały być równie surowo karane. Wprawdzie w momencie rozgrywania się akcji „Pana Tadeusza” ustawodawstwo to nie obowiązywało jeszcze formalnie na ziemiach litewskich, lecz domniemywać można, że rozmiary samowoli dowództwa miejscowej załogi wojskowej były na tyle wielkie, iż pozwoliłyby zastosować sankcje z „Żółtej Księgi” wobec panów braci z dobrzyńskiego zaścianka. Pozostawało uciec się do niezawodnej metody, to znaczy – do przekupienia dowódcy – Majora Płuta (słowo, od którego pochodzi to nazwisko, oznacza w języku rosyjskim oszusta). Był to Polak przechrzczony na prawosławie. Mawiano o nim, że jest przykładem szerszego zjawiska,

* Dosłowny „przekład” owej zabawnej niby-łaciny sądowej, przeplatanej polskimi słowami o obco brzmiących końcówkach, brzmiałby następująco: „z gajowni, borowni i granicowni, kmieciowi, sołtysowi i wszystkimi rzeczami oraz niektórymi innymi”.

iz większym niżli Rosjanin łotrem staje się ten, kto „w carskiej służbie zmoskwiciej”. Pertraktacje toczone przy pomocy życzliwego miejscowej szlachcie oficera nazwiskiem Nikita Ryków już-już zakończyłyby się powodzeniem – Major sam rzucił Sędziemu „cenę” tysiąca rubli za każdego uwolnionego – kiedy wydarzenia przybrały nowy obrót. Na dziedziniec dworu wjechał ksiądz Robak w towarzystwie Macieja „Rózczyki”, a wkrótce po nich pokazali się idący na odsiecz dalsi sąsiedzi. Dusza zabijaki nie do końca widać wyparowała spod mnisiej opończy. Kwestarz wdał się zatem z Moskalami w niby to przyjacielską pogawędkę i zaraz przekonał brata, aby co prędzej dał mocnego alkoholu oficerom i żołnierzom. Pijany Płut zaczął obrażać Telimenę, Soplicowie stanęli z jej obronie. Wywiązała się regularna bitwa, w której niedawni wrogowie, uwolnieni z pęt przez sprzymierzeńców Soplicy, stanęli z nim w jednym szeregu przeciwko carskiemu wojsku. Zwycięstwo w potyczce należało do Polaków. Wiktoria ta była jednakże mocno kłopotliwa: cała okolica mogła się teraz spodziewać poważnych represji. W sukurs zwycięzcom przyszło kilka okoliczności naraz. Kapitan Ryków, odmówiwszy zresztą przyjęcia jakiegokolwiek dla siebie majątkowej korzyści, obiecał czynić wszystko, aby osłonić Polaków. Nawalnica atmosferyczna, jaka się po feralnym poranku rozpętała, na długie godziny odcięła Soplicowo od reszty świata, co uniemożliwiło przenikanie dalej wiadomości o stratach poniesionych przez carską rotę.

Wreszcie Gerwazy przyznał się, że wyeliminował podstawowe źródło zagrożenia, mordując jeńca – Majora Płuta. Ksiądz Robak, napomniawszy Klucznika co do niedopuszczalności zabijania bezbronnych, wskazał wszakże jednocześnie drogę uzyskania rozgrzeszenia: uczynek taki mógł mianowicie doczekać się absencji, jeżeli motywem jego było publiczne dobro. Sędzia zaś zareagował w charakterystyczny dla niego sposób, od razu uchylając się od wszelkiej możliwej współodpowiedzialności: „*Ja tej krwi nie winien, jam o tym nie wiedział*”.

Gwoli sprawiedliwości trzeba jednak przyznać, że ogólna postawa Sędziego w całym zajściu była bez zarzutu. Szkicując wraz z Rykowem, jeszcze przed nieszczęsną bitwą, plan wybawienia zaściankowej szlachty od odpowiedzialności karnej, gotów był nie tylko wręczyć Płutowi żadaną za jej uwolnienie łapówkę, lecz także zeznać, że nie było żadnego zajazdu, a tylko zwykłe sąsiedzkie zatargi, za które panowie bracia – jako że uszczuplili soplicowski inwentarz – odpowiedzieć powinni co najwyżej płacąc przewidziane Statutem Litewskim nawiązki.

Cena za wygraną z Moskalami bitwę była jednak ostatecznie nie najniższa. Ksiądz Robak zmarł z ran odniesionych w chwili, gdy własnym ciałem osłonił Hrabiego przed strzałami Moskali. Klucznik przebaczył mu wszelkie dawniejsze przewiny, a w roku następnym Podkomorzy, obrany marszałkiem powiatu, oficjalnie i wszem wobec ogłosił koniec niesławy Jacka Soplicy; i ktoby teraz uchylał pośmiertnie jego czci, miał zostać karnie zapisany w księgach sądu grodzkiego jako zniesławiający bez powodu.

Cała masa szlachty, zwłaszcza młodzieży, dla własnego bezpieczeństwa udała się na emigrację, by po upływie paru miesięcy powrócić wraz z wojskiem Bonapartego.

Potrzebnymi do wyjazdu środkami zasilili ich Podkomorzy. Nawiasem mówiąc, człowiek ten, stojący nieco w cieniu innych postaci „Pana Tadeusza”, odznaczał się chyba sporą odwagą, skoro jego ulubione psy wabiły się: Sprawnik i Strapczyzna; imiona te wzięte zostały od rang obowiązujących w carskiej policji.

Wśród uchodźców znaleźli się i Tadeusz, i Hrabia. Co prawda temu ostatniemu próbowano wyperswadować ucieczkę argumentem, że – jako niezwykle zamożnemu ziemianinowi – uda mu się z pewnością „wykupić od więzień połową intraty”, to jest rocznego dochodu – on jednak zdecydował się nie tylko samemu pójść za Niemen, ale jeszcze na własny koszt wystawić w Księstwie Warszawskim pułk jazdy. Można zresztą przypuszczać, że zarządcy jego majątku na miejscu tak pokierowali sprawą, iż nie odniósł on poważniejszego finansowego uszczerbku – mogła mu wszak grozić nawet konfiskata dóbr. Snując dalej podobne domysły dochodzimy do wniosku, że i Sędziemu udało się na tyle skutecznie „pomazywać złotem” carskim urzędnikom (to określenie Rykowa), iż majątek Soplicowo dotrwał w kwitnym stanie do następnego roku, kiedy to przyszło mu udźwignąć niemałe koszty wystawnego przyjęcia dla napoleońskich oddziałów.

A fakt wzajemny Zosi i Tadeusza stał się powszechnie wiadomym już przed pośpiesznym wyjazdem młodzieńca z Litwy. Ten jego wybór był całkowicie po myśli ojca, który poprzez połączenie zwaśnionych rodów małżeńskim węzłem nie tylko zgodę, ale przede wszystkim pośrednie wyrównanie finansowych szkód pragnął osiągnąć. Woźny sądowy Protazy, a i pamiętający niejedno Klucznik Gerwazy także byli zdania, że zręcznie skojarzony mariaż bywa najczęściej jedynym sposobem na zakończenie wieloletnich procesów o majątki. Brzechalski stawał dalej jeszcze idącą tezę: że najuciążliwsze są sprawy prowadzone z udziałem katolickiego duchowieństwa albo też pomiędzy bliskimi krewnymi – bo nie można ich rozwiązać tą właśnie metodą.

Zaręczyny potomka Soplicy z Horeszkówną przecinały zarazem wszelkie wcześniejsze rachuby dotyczące tych dwu młodych osób. Sędzia zarzucić musiał swój zamiar ożenienia Tadeusza z którąś z córek Podkomorzego; zamiar ten i drugiej stronie nie był chyba niemiły, skoro ojciec dwu panien na wydaniu bacznie obserwował zachowanie przybyłego kawalera wobec jego latorośli podczas pierwszej wieczery w zamku, a Podkomorzyna na karnawał 1812 roku zabrała ze sobą do Wilna (zapewne oprócz własnych córek) także Zosię – niewykluczone że w nadziei, iż poznawszy tam kogoś interesującego zwolni miejsce u boku młodego Soplicy. Telimena dała sobie spokój z niegdyś próbami kojarzenia swej wychowanki z Hrabią. Jej zresztą najłatwiej chyba przyszło pogodzenie się z decyzją o takim właśnie zamążpójściu Zosi: wszak już dawno wprost mówiła Sędziemu, że jego rodzina „coś jest winna” rodowi Horeszków.

Panna Zofija – tak zaczęto ją w związku z zaręczynami tytułować – została najprawdopodobniej wychowana w znacznej nieświadomości tego, jaka społeczna pozycja powinna jej przynależeć. Sama wyznaje Tadeuszowi, że o rodzice

swoim niewiele wie i nie dba o to; mało – czuje się związana wdzięcznością wobec opiekunów, którzy ją jako sierotę przygarnęli. Nie wydaje się, by taką postawę można do końca wytłumaczyć łagodnością charakteru oraz młodym wiekiem panienki; wszak, jeśli chce, potrafi ona postawić na swoim. Tak właśnie stało się, gdy jej zwycięski upór w wyborze tradycyjnego litewskiego stroju – wbrew stanowczym radom czy wręcz zakazom Telimeny – zaowocował powszechnym zachwytem szlachty i goszczącej we dworze generalicji.

Naręczony, pełen charakterystycznej dla młodych ludzi uczciwości, czuje się w obowiązku uzgodnić z przyszłą żoną decyzję o uwolnieniu z poddaństwa chłopów. Jest zresztą trochę niejasne, dlaczego Tadeusz zachowuje się już tak jak właściciel soplicowskich dóbr, skoro prawnie przynależą one ciągle do Sędziego. To prawda, że stryj przedstawia go poddanym jako przyszłego dziedzica i że nosi się od dawna z zamiarem sukcesywnego przekazywania bratankowi majątku, lecz na razie pan Tadeusz jest chyba równie ubogi jak jego naręczona. A jednak – to on zachowuje się jak przyszły ziemianin, zaznaczając jedynie w rozmowie z Zosią, że znaczna część wiosek, które ma posiadać, prawnie jej by się należała. Targowicki tytuł nadania pozostaje zatem nie podważony.

Czy to z powodu głębokiego zaufania do przyszłego męża, czy to z poczucia bezradności, czy też na fali powszechnego entuzjazmu patriotycznego – Zosia nie próbuje nawet dopytywać się o sprawy majątkowe swej rodziny; prostodusznie też godzi się na uczynienie pięknego gestu wobec poddanych. Aby nie pozostał on właśnie gestem tylko, Gerwazy radzi, by wyzwolonych chłopów przyjąć jednocześnie do herbu; uszlachetnienie zapobiegało bowiem popadnięciu ich w ponowne poddaństwo, tym razem wprost od carskiej władzy. Klucznik jest zarazem jedyną osobą, która – dowiedziawszy się o pochodzeniu „Panny Zofiji” – uzna w niej prawowitą dziedziczkę majątku Horeszków, w dowód czego przekaze jej przechowywany pieczęlowicie, uchowany od konfiskat i innych zagrożeń skarbczyk Stolnika. Ruchomości w nim zgromadzone musiały mieć chyba nieliczną wartość, skoro stary sługa uprzednio roił sobie, że po wygranym przez Hrabiego procesie wyremontuje za nie stare zamczysko.

Sprawa o mury Horeszkowa załatwiła się ni tak, ni owak – jakoś sama z siebie. Hrabia przestał rościć wszelkie pretensje do tej nieruchomości najprawdopodobniej nie tylko dlatego, że zaakceptował – tak jak wszyscy – pogodzenie się zwaśnionych rodów, ale i dlatego, że zająwszy się na serio wojaczką miał teraz ważniejsze sprawy na głowie. Jeszcze przed ucieczką za Niemen poprzedniego roku doszło także z jego strony do oficjalnego przeproszenia Sopliców za wyrządzoną zniewagę, co zmazało ostatecznie sprawę pojedynku.

Z bohaterami poematu każe nam się poeta pożegnać w momencie wybuchu wyzwoleniczych nadziei, który gładził lokalne animozje. Koncert Jankiela, w którym zmowa targowicka zaznaczona jest dysonansem, śpiewają unisono wszystkie dusze. Lecz my wiemy, że także po klęsce wyprawy Napoleona na Moskwę życie na Litwie i na ziemiach Korony musiało toczyć się dalej. Nadal też

egzystowali w polskim społeczeństwie konformiści i obrońcy narodowej dumy, tchórze i cisi bohaterowie. Wciąż można było wśród nich spotkać ludzi podobnych Asesorowi (termin ten w początkach XIX wieku oznaczał funkcjonariusza policji ziemskiej), który przetraciwszy całe swoje mienie zaciągnął się w carską służbę, by „coś znaczyć w powiecie”. Mijały dziesięciolecia, zapominano o zbrodniach; już tylko czasami grozę budziły nazwiska dawnych sprzedawczyków. Bywało, że z czasem zdrajców zaczęto nazywać herosami, rzeczywistych zaś herosów oskarżano o zdradę. Najtrwalsze wszakże i nieodwracalne okazywały się zawsze majątkowe owoce hańby.

Bibliografia:

Bardach J., Leśnodorski B, Pietrzak M.: *Historia państwa i prawa polskiego*, PWN, Warszawa 1976.

Breyer S.: *Spór Horeszków z Soplicami*, Wydawnictwo Prawnicze, Warszawa 1955.

Kossak E.: *Rodzina M.*, Czytelnik, Warszawa 1991.

Mickiewicz A.: *Dzieła. T. 4 – Pan Tadeusz*, Czytelnik, Warszawa 1955.